

Była raz obora w Bombaju, czyli solidarność Cezary Borowy o swojej książce "Spowiedź | Byłem przemytnikiem w Indiach"

DARIUSZ SZRETER · 25 stycznia



fol. archiwum Cezarego Borowego

- Przemysł elektroniki z Singapuru do Indii był o tyle bezpieczny, że wartość jednej torby z kamerą czy magnetowidem nie przekraczała trzech tysięcy dolarów, więc kwalifikowała się co najwyżej na grzywnę. O ile nie udowodniono działania w grupie - mówi Cezary Borowy, autor wspomnień „Spowiedź Hana Solo Byłem przemytnikiem w Indiach”.

Trafił pan do Indii w roku 1987, motywowany w dość nietypowy sposób: zachęcił pana artykuł w tygodniku „Polityka” o działających w tym kraju polskich przemytnikach. Nie taki był chyba zamysł dziennikarza tego podówczas partyjnego periodyku.

To splot rozmaitych czynników. Ciągnęły mnie podróże. Skończyłem wtedy studia, wyjechałem do Anglii, gdzie pracowałem na czarno. Miałem zaoszczędzone jakieś dwa-trzy tysiące funtów, ale pomyśl, żeby kupić za to jakiś **używany samochód** i wracać do Polski, zupełnie mnie nie rozgrzewał. I wtedy przeczytałem ten artykuł, który opowiadał o Polakach zajmujących się w Indiach handlem. Może i padło słowo „przemysł” albo „przewal”, ale zasadniczo w tamtym okresie Polacy, którzy przecież robili tego typu interesy na różnych trasach, nazywali to po prostu handlem. „Handlowano” z Turcją, Bułgarią, Kazachstanem. Pomyślałem, że ja tyram po 10 godzin na londyńskich budowach za dwa funty na godzinę, drząc przed kontrolą Home Office, a tam w Indiach chłopcy robią jakieś wielkie interesy. Miałem pewne obawy, o czym zresztą piszę w książce, że to może jacyś cinkciarze, złodziejaszki, gangsterzy. Nie byłem pewny, na kogo trafię. Ale miałem też wizję australijską. I to był mój wariant awaryjny: jak nie wyjdzie w Indiach, to spadam do Australii.

Ile czasu zajęło panu dotarcie do tego środowiska, jak już się pan znalazł w Indiach?

Dokładnie sześć tygodni. Miałem bilet lotniczy z kilkoma przystankami: Delhi, Katmandu, Bangkok, Singapur, Dżakarta, Sydney i z powrotem. Poleciałem pierwszy raz do Delhi, ale nikogo nie spotkałem. Poleciałem w związku z tym do Katmandu, zrobiłem trekking w górach, zwiedziłem Bangkok, potem Singapur. Tam znów próbowałem znaleźć tych polskich przemytników, ale szanse były marne. Odwiedzałem sklepiki z tanią elektroniką, postanowiłem coś kupić i przeszmuglować na własną rękę. Doradzano mi jakąś kamerę, którą „kupuje się do Indii”. Przez Katmandu drogą lądową wróciłem do Delhi, ale tam nikt tą kamerą nie był zainteresowany. A jak już ktoś chciał kupić, to za cenę poniżej tej, którą zapłaciłem w Singapurze. Byłem już mocno zniechęcony i rozważałem, czy nie jechać jednak do tej Australii. Na centralnym placu w Delhi poszedłem do pizzerii, bo miałem trochę dość azjatyckiego jedzenia. I tam właśnie pierwszy raz od dawna usłyszałem ludzi rozmawiających po polsku. Tyle, że... niewiele z tego rozumiałem, bo oni posługiwali się jakimś slangiem, jakby więzienną grypserą. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że to właśnie ci Polacy, o których pisano w „Polityce”. Poszedłem i dobrze trafiłem.

Kiedy Polacy zaczęli „obsługiwać” przemysłowo tamte trasy?

Po publikacji książki odezwały się do mnie różne osoby, więc teraz wiem o tym więcej niż kiedy pisałem „Spowiedź Hana Solo”. Zaczęło się w połowie lat 80., kiedy po zakończeniu stanu wojennego łatwiej było o paszport. Istniała możliwość kupienia za 150 dolarów biletu Aeroflotu z Warszawy do Singapuru z przesiadkami w Moskwie, Tasz-kencie i Delhi. Brało się z kraju kryształ, aparat fotograficzny Zenit i sprzedawało w Indiach, potem kupowało jakieś ciuchy, które wysyłano do Polski, i dalej leciało się do Singapuru po elektronikę. Na jednym takim kursie można było zarobić 400-500 dolarów, ale trzeba było potem wrócić do Polski, oddać paszport, starać się o niego na nowo, zdobyć wizę itd. Kiedy ja dotarłem do Indii, to wyglądało już zupełnie inaczej, bo przerzut robiło się między Indiami i Singapurem, bez konieczności powrotu do Polski. A paszport, który teoretycznie dostawałem na wyjazd do Wielkiej Brytanii, był przecież ważny na wszystkie kraje świata. Swoboda, którą tam poczułem, była niesamowitym przeżyciem. Trudno to dzisiaj przekazać tym, którzy nie żyli w PRL-u. Świat zrobił się nagle taki dostępny, otwarty. Ale książkę napisałem przede wszystkim po to, żeby upamiętnić tamtą naszą egzotyczną wspólnotę młodych Polaków. Zawiązało się tam wiele przyjaźni, kilka małżeństw, a w sumie nikt o tym nie wie.

Jak liczne było to wasze środowisko?

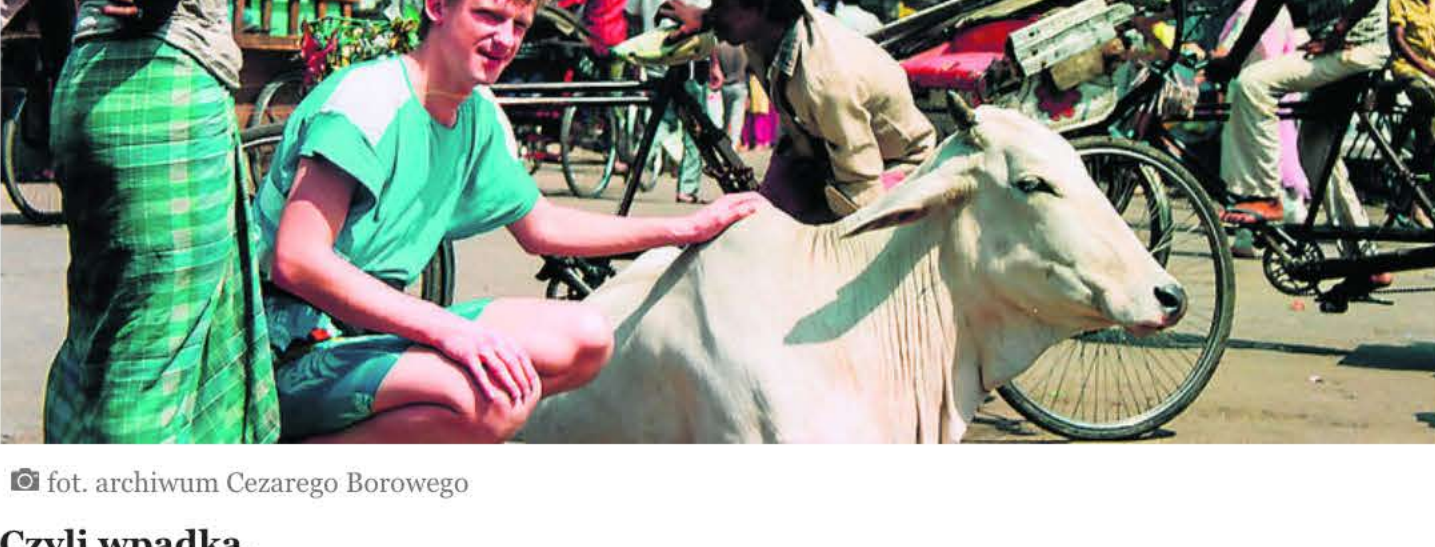
Tak mogło być około 150, maksymalnie 200 osób w jednym momencie. Bo wielu było takich, którzy siedzieli tam ciurkiem przez ponad dwa lata, niektórzy pięć, siedem. Była pewna rotacja: ktoś leciał do Polski, inny przyjeżdżał, potem tamten wracał...

Z tego, co pan pisze, były tam różne grupy. Nie tylko ci, którzy przewozili elektronikę, ale też ryzykujący dużo więcej przemytnicy „zółtka”, czyli złota, oraz tak zwani kotoniarze [od cotton - bawełna - red.], którzy masowo wysyłali do Polski kolorowe indyjskie ubrania.

Złoto i elektronika to było to samo środowisko, tylko na różnym etapie. Najpierw przemycano elektronikę, potem elektronikę i złoto, a potem już samo „zółtko”. O złocie być może napiszę inną książkę. Jeżeli chodzi o kotoniarzy, to było to środowisko wielokrotnie liczniejsze od nas. Tysiące osób. Po wydaniu książki wdąłem się z nimi w dyskusję, czy to, co robili, to przemysł, czy nie. Oni się nie zgadzają na to określenie i mówią, że „handlowali” z Indiami. A według mnie to też przemytnicy, bo w PRL-u nie można było prowadzić prywatnego handlu zagranicznego. Tymczasem oni kupowali 10 000 chust, które wysyłali paczkami po 5 lub 10 kilo do podstawionych osób w Polsce, i mówili, że to na potrzeby własne albo prezenty. Przemysł dla mnie to sytuacja, w której towar przekracza granicę bez płacenia należnego cla. No, ale oczywiście jest to też handel. Nic się nikomu nie kradnie. W obu wypadkach - czy naszej działalności w Indiach, czy tych ludzi, którzy sprowadzali te ciuchy wbrew przepisom do Polski - trudno wskazać osobę, która byłaby poszkodowana. Jak mówimy o tych ciuchach, to można powiedzieć, że oni nawet dobrze robili, bo dzięki nim ubrania Polaków stały się bardziej kolorowe. Cóż w tym złego, skoro rządzący nie potrafili sobie z tym poradzić? Tak samo było z elektroniką. W Indiach jej nie było, a ludzie pragnęli tych kamer. Ale zasadniczo nie chcę wchodzić w oceny etyczne-moralne, choć od nich nie uciekam. Stąd tytuł książki: „Byłem przemytnikiem w Indiach”.

Pomówmy w takim razie o ryzyku. W pewnym momencie cytuje pan tam urzędnika polskiej ambasady, który ostrzegwał, że „biały wychodzi z indyjskiego więzienia tylko nogami do przodu”.

Za przemysł elektroniki w zasadzie nie sadzano, ale jak pan przeczytał w książce, ja wylądowałem w więzieniu. Na podstawie przepisu „kofi pauza”, którego wtedy nie rozumieliśmy. Przemysł elektroniki był o tyle bezpieczny, że wartość jednej torby z kamerą czy magnetowidem nie przekraczała trzech tysięcy dolarów, więc kwalifikowała się co najwyżej na grzywnę. O ile nie udowodniono działania w grupie. Parę razy celnicy tego próbowali. Była taka nieopisana przeze mnie w książce obora...



fol. archiwum Cezarego Borowego

Czyli wpadka.

No obora, wpadka, bałagan, coś mało przyjemnego. W styczniu 1988 na lotnisku w Bombaju zatrzymano ponad 20 osób i przesłuchiowano bardzo drastycznie, żeby udowodnić działanie zbiorowe, a to był już inny paragraf niż zwykły przemysł. Nie żeby kogoś bito, ale trzymali ich tam naprawkę długi i inni widzieli, jak się zachowuje przesłuchiwany. W pewnym momencie wydawało się, że jeden z kolegów jest bliski załamania. Wtedy inny błyskawicznie odepchnął żołnierza, wdarł się do tego kantorka i krzyczy: „Ani słowa, do niczego się nie przyznawaj, nic nie podpisuj!”. Tak się dopingowali nawzajem, żeby nikt nie pękał. Po 48 godzinach i konfiskacie towaru puścili ich. Ale to był już czas, kiedy coraz trudniej było przemycać elektronikę w sposób opłacalny. A „zółtko” kusilo, więc po cichu niektóre grupy zaczęły po trochu je dokładać. Oczywiście w porozumieniu z osobami, które to brały z pełną świadomością konsekwencji.

Codziennie odbieram telefony. Bywa nawet, że po cztery dziennie. Mówią, że nie mogli się oderwać od lektury. I o to właśnie mi chodziło, żeby ożywić tamte wspomnienia. Postarałem się też, by nikomu nie zrobić krzywdy, nie zdekonspirować tych, którzy nie życzą sobie takiego coming outu. Wszyscy są zadowoleni, mówią, że bardzo dobrze, że to napisałem.

Wróćmy do pańskiego pobytu w więzieniu.

Znam osoby, które mi tego zazdroszczą jako rodzaj egzotycznej przygody, szczególnie że mój pobyt tam nie był zbyt długi. Ale od wewnątrz to wygląda trochę inaczej. Jakby mi ktoś od razu powiedział, że będę tam 30 dni, to okej. Trochę brudno, ale nie każdy jest taki wrażliwy. Można obejrzeć, jak to jest w środku, potem jest co wspominać. Ale jak człowiek nie wie, czy będzie siedział trzy dni, 30 czy dwa lata - to jest to sytuacja przytłaczająca. Tym bardziej że byłem aresztowany jako pierwszy Polak, w związku z tym nie było żadnych doświadczeń. Ale skończyło się relatywnie szybko, życia mi to nie zlamало.

Czy elektronika to była tylko polska specjalność?

Na pewno nie. Nie dalibyśmy rady obsłużyć całego rynku. Ale poza nami to byli raczej miejscowi. Nikt z Zachodu, poza Polakami, tego nie robił. Sikhowie też stanowią taką prężną grupę. Koleżanki ścierały się z nimi kontakt. Była taka sytuacja, że nieopisana w książce, żeby zezamska ściągająca na lotnisku torbę z taśmą białą, a ta torba się rozzerwała. Elektronika rozsypała się na podłodze, a były tam m.in. głowice do magnetowidów, które przypominały krążek hokejowy. I to się zaczęło gdzieś tam turlać. Ludzie się oglądają, więc nasi koledzy podeszli i zaczęli robić sztuczny tłum wokół niej, żeby spróbowała pozbierać do kupy ten ładunek. Była tam też grupa Sikhów, którzy to zauważyli, uśmiechnęli się i dołączyli do naszych, żeby ją zasłaniać przed celnikami. Wyglądało na to, że wiedzieli, o co chodzi, i celowo nam pomogli. Taka solidarność peerelersów.

Peerelerscy dyplomaci starali się minimalizować kontakty z waszym środowiskiem i wzajemnie. A co ze służbami? Czy były sygnały o próbach inwigilacji?

Wtedy na pewno o niczym takim nie słyszałem. Teraz, jak rozmawiam, to niektórzy opowiadają, że jak wracali na chwilę do Polski, to byli brani na spytki. Ale nic nie sprawiało wrażenia, żeby służby w jakiś sposób ingerowały w to, co robiliśmy. Nasze środowisko to była młoda polska inteligencja, młodzież sympatyczna, bardziej z etosu Solidarności niż przestępca.

Po niespełna trzech latach tej przygody zrezygnował pan. Dlaczego?

Zrezygnowałem, bo mimo młodego wieku miałem świadomość, że to jest taka spirala prowadząca na ciemną stronę mocy. Najpierw robiliśmy elektronikę, zarzekając się, że nigdy nie tkniemy „zółtko”. Później było „zółtko”, potem fałszywe pasz-porty i tak dalej. Obawiałem się, historycznie tego dnia nie obudzę się umoczonej w jakieś międzynarodowe gangsterskie sítě, które to nie był mój pomysłu na życie, w którym miałem odpowiedzialność dla egzotyki wycofałem się. Impulsem były też zmiany w Polsce. Pamiętam, że przed powrotem mieliśmy jeszcze z dziewczyną plan pojechania do Japonii, ale pomyślałem: „Co tam Japonia! Polska i to, co tam się teraz dzieje, to jest egzotyka. Chrzanić Japonię!”. A jednocześnie pojawiły się już możliwości legalnego importu do Polski. Nie trzeba było wysłać paczek po 5 kilo, można było załadować kontener z ciuchami, zapłacić w Polsce cło i rozrzucić to po bazarach. Wzrost z nas w tym momencie się wycofało, wchodząc albo w import ciuchów z Tajlandii czy z Indii, albo elektroniki z Singapuru.

Pisząc o dalszych losach przyjaciół z waszej grupy, zauważył pan też, że tamto przemysłowe doświadczenie wpłynęło na wasz sposób podchodzenia do biznesu w Polsce. Dominowała pewna niecierpliwość, skłonność do ryzyka, szybkich ruchów obliczonych na duży zysk, a nie mozolne budowanie solidnej firmy.

Myszę, że faktycznie tak było. Przynajmniej w pierwszej fazie, co zresztą skończyły się kosztownymi błędami i upadkami. Był też i inny aspekt. Tam, w Indiach, ufaliśmy sobie nawzajem. Duże pieniądze przechodziły z ręki do ręki bez podpisywania papierów, weksli. To było środowisko zamknięte. Wiadome było, że jak ktoś pożyczyl, to odda, w przeciwnym razie nie mógłby tam dalej działać. Ale potem w kraju padło ofiarą takiego podejścia, bo tutaj to tak nie działało. Sporo osób popłynęło na spółkach z osobami niepoważnymi, nieuczciwymi.



fol. archiwum Cezarego Borowego

Ale wspomina pan mimochodem, że jedna z największych obecnie fortun w Polsce też ma swoje źródło w przewalach na Dalekim Wschodzie.

Nawet nie jedna, można powiedzieć, ale co najmniej kilka.

Pan wspominał o niejakim „Redaktorku”.

Tak. I niech zostanie pod tym pseudonimem. Ale jest jeszcze kilka innych poważnych biznesów, które też miały źródło gdzieś tam. Natomiast dla większości tych osób to się nie zmieniło w jakieś ogromne fortuny, na poziomie, powiedzmy, 10 milionów złotych. Ale owszem, mają przyzwoite domy, dobrze wykształcone dzieci i fajnie sobie żyją.

Jak pańską książkę przyjęli dawni koledzy?

Codziennie odbieram telefony. Bywa nawet, że po cztery dziennie. Mówią, że nie mogli się oderwać od lektury. I o to właśnie mi chodziło, żeby ożywić tamte wspomnienia. Postarałem się też, by nikomu nie zrobić krzywdy, nie zdekonspirować tych, którzy nie życzą sobie takiego coming outu. Wszyscy są zadowoleni, mówią, że bardzo dobrze, że to napisałem.